

# Mój Spitsbergen. Reminiscencje

## My Spitsbergen. Reminiscences

Z wyspą Spitsbergen Archipelagu Svalbard, czy też wyspą Vestspitsbergen, jak się dawniej mówiło, jestem związany niemal od początku mojej pracy zawodowej. W czerwcu lub lipcu 2009 roku minie 50 lat od chwili, gdy w Pracowni Paleozoologii PAN w Poznaniu pojawiła się wielka skrzynia przysłana przez ówczesnego Docenta Krzysztofa Birkenmajera. Zawierała okazy koralowców, zebrane przezeń podczas Międzynarodowego Roku Geofizycznego. Docent Birkenmajer zaryzykował i przekazał tę kolekcję do opracowania człowiekowi z siedmio- lub ośmiomiesięcznym stażem naukowym. Gwarantem była wprawdzie Pani Profesor Maria Różkowska, ale... Kolekcję uzupełnił jeszcze dr Stanisław Czarniecki pod koniec roku 1960. Okazy opracowałem na tyle dobrze, iż napisałem na ich podstawie rozprawę doktorską, która została w całości opublikowana w *Studia Geologica Polonica* (17, 1965).

Niestety, na osobiste zapoznanie się ze Spitsbergenem musiałem czekać aż 16 lat, tj. do roku 1975. Byłem już wówczas od pięciu lat po habilitacji. Miałem wprawdzie pojechać z warszawską wyprawą paleontologiczną już rok wcześniej, ale zostałem nagle wykreślony ze składu. Czemu? Nie wiem do dzisiaj.

Wyprawy ówczesne nie były wprawdzie równie dramatyczne jak peregrynacje pierwszych eksploratorów Arktyki, były jednak dostatecznie uciążliwe. Wie o tym każdy, kto żywił się przez kilka miesięcy wyłącznie produktami z puszek i każdy, kto odbył podróż „Turlejskim” z Gdyni do Hornsundu. Podejrzewam, iż to straszne stalowe pudło utrzymywało się na wodzie i trafiało do celu jedynie dzięki kunsztowi, a może nawet czarom Kapitana Grządka. Trafiliśmy zatem do celu również w owym roku, dryfując przedtem kilka dni

w lodach, a następnie czekając w Barentsburgu 3 tygodnie na wschodni wiatr, dostatecznie silny, by wypchnąć pak lodowy z Hornsundu.

Spędziłem wówczas na Spitsbergenie cztery miesiące. Jednakże sześć tygodni spędzonych samotnie w chatce na półwyspie Treskelen stanowi moje najpiękniejsze wspomnienie tej pierwszej wyprawy. Pomny instrukcji nosiłem ze sobą dubeltówkę i naboje śrutowe. Jedno i drugie właściwe do polowania na zające, jak się później od myśliwych dowiedziałem. Na szczęście dla mnie niedźwiedzi było wówczas niezmiernie mało. Wybito je bowiem w znacznym stopniu, by dopiero na granicy katastrofy wziąć pod ścisłą ochronę. Widywało się je z rzadka i tylko wtedy, gdy do fiordu wpływały lody, a wraz z nimi foki. Ja nie widziałem żadnego. Korzystając z nieustającego dnia pracowałem bardzo intensywnie, chłonąc równocześnie piękno, majestat i spokój Arktyki. Teraz wiem, iż zaraziłem się wówczas Arktyką dożywotnio.

Wyprawa tegoroczna, w której uczestniczyłem dzięki uprzejmości Panów Profesorów Mariana Harasimiuka z UMCS i Jacka Jani z UŚ, pozostawiła po sobie wrażenia zupełnie odmienne od pierwszej. Byłem wprawdzie poprzednio na Spitsbergenie w 2004 roku, ale miałem bazę pływającą w postaci „Horyzontu II”. Statek zapewniał doskonale posiłki, wygodne miejsca do spania, pracy i dyskusji, a przede wszystkim łazienki. Każdy, kto biegał co najmniej raz dziennie z łopatką i raz na tydzień wylewał na siebie konewkę ciepłej wody wie doskonale, dlaczego napisałem „przede wszystkim”. Podczas tegorocznej wyprawy biegało się nadal z łopatką, ale była to bodaj jedyna reminiscencja dawnych czasów. W bazie UMCS na Calypsobyen jest łazienka! Jej użycie wymaga wprawdzie przygotowania gimnastycznego, ale

to nic wobec przyjemności zmycia z siebie potu po powrocie z terenu. Przytrzymując nogą pojemnik z ciepłą wodą, pompując tę wodę jedną ręką, a polewając ciało drugą, ma się wprowadzić tylko jedną nogę dla utrzymania równowagi i myśli się z zazdrością o ośmiornicy, ale ablucje czyni się w prawdziwym brodziku łazienkowym i w kabinie z gustowną zasłonką. Co więcej, można te ablucje czynić stosunkowo często, bowiem do dyspozycji jest ogromny gar z ciepłą wodą, a przede wszystkim wielka kultura i przyjazny stosunek Kolegów z Lublina, którzy spędzają tutaj na badaniach pięć miesięcy. Nasza zaledwie 4-osobowa ekipa (był z nami jeszcze mgr Grzegorz Gajek z UMCS) była przez Nich goszczona niespełna 3 tygodnie.

O ile możliwość wykąpania się w bazie UMCS była przyjemnym zaskoczeniem, o tyle rodzaj i jakość wyżywienia była szokiem. Wspominałem już doskonale i urozmaicone jedzenie na „Horyzoncie”. Było ono jednak czymś naturalnym na statku z chłodniami, zawiązującym do portów, mogącym zatem uzupełniać zapasy. Jednakże zjedzenie doskonałych zrazów zawijanych, kotletów, różnego rodzaju surówek i sałatek, wciskanie do herbaty soku ze świeżych cytryn i spożywanie świeżo upieczonego chleba miało się nijak do wiecznie tych samych puszek i „baltonowskiego” wieczyście świeżego chleba, tak nabitego konserwantami, że pleśń się go nie miała nawet po pół roku. Rarytas w postaci cebuli kończył się na długo przed końcem wyprawy.

Powinienem się być wprowadzić domyśleć, iż czasy się radykalnie zmieniły. Przylecieliśmy samolotem i helikopterem, a nie „Turlejskim” i łódką z 1.5 konnym silniczkami. Kupowaliśmy różne świeże produkty w ogromnym supersamie w Longyearbyen, a z lotniska do hotelu przywiozła nas taksówka. Hotel dysponował plazmowym telewizorem z kilkunastoma kanałami itd. Nie domyśliłem się jednak, iż nasi koledzy w Calypsobyen nie tęsknią za przysłowiową cebulą. Sprawdziło się zatem przeświadczenie żeńskiej (przeważającej) części rodziny o mojej skrajnej niedomyślności.

Do gościnności przyjaciół z Lublina, Profesora Jerzego Melke i Doktorów Andrzeja Gluzy, Krzysztofa Siwka i Piotra Zagórskiego oraz Doktora Marcina Świtoniaka z UMK, dostosowała się pogoda. W ciągu całego pobytu mieliś-

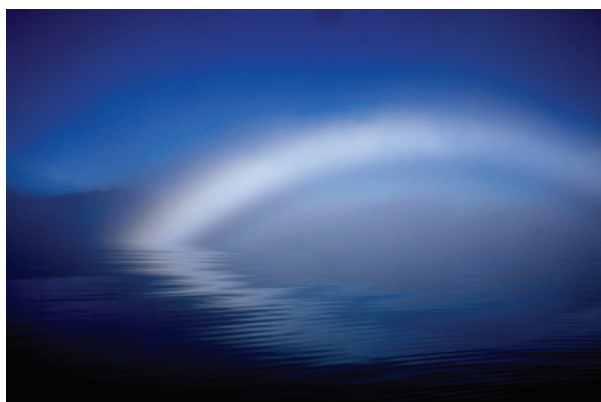
my jedynie półtora dnia naprawdę paskudnej pogody, zmuszającej do pozostania w bazie. Wiały wprowadziły w ciągu kilku dni silne wiatry, uniemożliwiające sondowanie konfiguracji dna morskiego wzdłuż Calypsostranda pod Recherchebreen i w Josephbukta, ale dni takich było na tyle mało, iż Prof. Jania i Koledzy wykonali swoje zamierzenia naukowe z nawiązką, a z ich wstępnych opracowań, czynionych na gorąco w bazie wynika, iż przynajmniej skorygują, a nawet zmienią niektóre dotychczasowe poglądy na temat genezy utworów wzdłuż Calypsostranda, Josephbukta i najbardziej wewnętrznej części Recherchefjorden. Dni wietrzne bynajmniej nie były zmarnowane. Badaliśmy moreny i inne utwory przedpola Renardbreen. Przyniosły one kilka rozwiązań, kilka zagadek oraz przynajmniej jedno drobne odkrycie (?), do którego się nieco przyczyniłem znalazłszy kilka fragmentów skorupki małży morskich w osadach ilastych nieustalonego na razie wieku. Piśzę o tym znalezisku ze znakiem zapytania, nie wykluczone bowiem, iż morski charakter tych ilów był już znany uprzednio, nie był jedynie znaczony dotychczas na mapach.

Przebywanie z osobami tak doświadczonymi, jak Profesorowie J. Jania i M. Harasimiuk w strefach czołowych lodowców i w dzikim, bezładnym dla laika terenie, niedawno przez lodowce opuszczonym, było dla mnie wspaniałą lekcją glaciologii i wszelkiego rodzaju sedymentacji związanej z działalnością lodowców i wód roztopowych. Przekładanie dzikiego chaosu form i rodzajów osadów na logiczną sekwencję przyczyn i skutków, dokumentowaną bezpośrednio, jest przywilejem obcym dla osób takich jak ja, zajmujących się faunami sprzed kilkuset milionów lat. Margines błędu z jakim my mamy do czynienia i dywagacji, do których jesteśmy siłą rzeczy zmuszeni, jest w przypadku badań czoła i przedpola lodowca zminimalizowany. Nie znaczy to, oczywiście, iż łatwo jest tę logiczną sekwencję odtworzyć. Znaczą jedynie, iż można ją natychmiast zweryfikować i sfalsyfikować, a tym samym podnieść na rzetelny poziom naukowy. Jakże łatwo jest zrozumieć, czym jest morena ablacyjna, gdy zobaczy się powierzchnię lodowca pokrytą rumoszem, a kilkaset metrów dalej obejrzy się tę morenę w przekroju wyciętym przez strumień w świeżych osadach.



**Fig. 1.** Pole sandrowe Recherchebreen z pniami drewna dryftowego. Od prawej profesoria: Marian Harasimiuk (UMCS), Jerzy Fedorowski (UAM) i Jacek Jania (UŚ) oraz dr Piotr Zagórski (UMCS)

*Fig. 1. The Recherchebreen outwash area with drifted wood stems. From the right Professors Marian Harasimiuk (UMCS), Jerzy Fedorowski (UAM), Jacek Jania (UŚ) and Dr. Piotr Zagórski (UMCS)*



**Fig. 2.** „Biała tęcza” w mgłach nad Renardbreen. Widok z Recherchebfjord

*Fig. 2. The “white rainbow” in the fog covering the Renardbreen. Seen from the Recherchebfjord*



**Fig. 3.** Kwitnący dębik ośmiopłatkowy (*Dryas octopetala*), jeden z najbardziej charakterystycznych kwiatów Arktyki

*Fig. 3. *Dryas octopetala*, one of the most characteristic Arctic flowers, in blossom*

Jestem od zawsze zafascynowany urodą dzikich kwiatów na wszelkich szerokościach i długościach geograficznych, na których było mi dane przebywać. Mam setki zdjęć kwiatów spitsbergeńskich z poprzednich wypraw. Nie mogłem się jednak i tym razem oprzeć urodzie maków polarnych, dębika ośmiopłatkowego, różnych skalnic i *Sileneae*, której polskiej nazwy rodzajowej zapomniałem. Mój zbiór wzbogacił się znacznie i tym razem, a wzbogacił się tym łatwiej, iż aparat cyfrowy z kartą na niemal 2000

zdjęć zapewnia niebywałą swobodę w fotografowaniu wszystkiego, co się nawinie. Kwiatki arktyczne są na ogół małe. Nic dziwnego zatem, iż sporo czasu spędziłem w pozycji horyzontalnej. Na szczęście nieprzemakalne spodnie i kurtka zapobiegły (mam nadzieję) dalszemu rozwojowi reumatyzmu w mojej prawej nodze.

Oczywiście Spitsbergen to także obszary lęgowe bernikli obrożnej, edredonów, alek, biegusów, mew, rybitw, śniegół i wydrzyków, a także obszar stale zamieszany przez pardwy.

Niektóre z tych ptaków są nadal dość pospolite, podobnie jak stali czworonożni mieszkańcy: renifery i pieśce. Pospolitym stał się także niedźwiedź polarny, co również odróżnia tę wyprawę od mojej pierwszej bytności na Spitsbergenie. Przede wszystkim odróżnia ją jednak natłok turystów. Zaczynałem się tego obawiać już podczas mojego pobytu w archipelagu Svalbard w roku 1978, gdy nasz wielki Boeing wylądował na niedawno otwartym lotnisku w Longyearbyen. Nie przypuszczałem jednak, iż Spitsbergen może się stać rodzajem kurortu, do którego przylatuje kilkuset pasażerów dziennie, a znacznie więcej przybywa luksusowymi statkami, wożącymi „kuracjuszy” po fiordach. Z bazy w Calypsobyen widzi się przynajmniej dwa duże statki i kilka jachtów dziennie. Większość dopływa blisko do kończących się w fiordach lodowców. Nie na tyle jednak blisko, by łód się na nich zwałił podczas „cielenia”. Opowiadano mi, że zdarzył się jednak i taki kapitan-„gieroj”, który dotykał lodowca dziobem statku. Skończyło się to tragicznie. Byli zabici i ranni, gdy dziesiątki ton lodu zwały się na pokład.

Atrakcją turystyczną jest wyjście na ląd i przechadzka po morenach. Szczytem bocznej moreny Recherchebreen turyści chodzą tak często, iż wydeptali już ścieżkę. Dziesiątki śladów ludzkich otaczają każdy trop pozostawiony przez niedźwiedzia. Trudno się nie zżymać na ten widok. Na szczęście firmy organizujące wycieczki zatrudniają ochroniarzy w podwójnej roli: uzbrojeni panowie mają obowiązek nie tylko

strzec turystów, ale także po nich sprzątać. Nie spotyka się zatem śmieci tradycyjnie walających się po polskich polach i lasach. Każdy porzucony papierek, butelka, czy puszka niemal natychmiast wędruje do worka ochroniarza.

Rozumiem, iż tak piękny skrawek świata przyciąga. Wątpię jednak, bym jeszcze tam zawędrował. Zapewne będzie tak, jak z Tatrami. Nie wróciłem w Tatry ani razu od 15 lat, tj. od wycieczki geologicznej ze studentami nad Morskie Oko. Nieprzerwany sznur ludzi na ścieżce i tłum nad jeziorem odstręczyły mnie od Tatr na zawsze. Wiem, że mogę być jeszcze sam na sam z Arktyką w miejscach niedostępnych dla turystów, tak jak są sam na sam z Tatrami koledzy prowadzący w nich badania naukowe. Jednak sam fakt, iż tuż obok przewalają się tłumy, czyni owo odosobnienie iluzorycznym. Co więcej, jestem przekonany, iż wkrótce będzie się można porozumieć telefonem komórkowym z całym światem z dowolnego punktu Spitsbergenu. Obecnie idzie się 4 km z bazy na Calypsobyen do przylądka zwanego przez kolegów z Lublina „budką telefoniczną”, można z niego bowiem zadzwonić komórką dokądkolwiek się chce. Nie jest już dla mnie miejscem atrakcyjnym Spitsbergen zamieniony w budkę telefoniczną przybraną topniejącymi lodowcami. Wystarczy mi szczęście bycia niegdyś w prawdziwej Arktyce.

*Jerzy Fedorowski*